

JAN KULCZYK

BIOGRAFIA NIEZWYKŁA

FRONDA

CEZARY BIELAKOWSKI

PIOTR NISZTOR

CEZARY BIELAKOWSKI

PIOTR NISZTOR

JAN KULCZYK

BIOGRAFIA NIEZWYKŁA

FRONDA

Projekt okładki: Maciej Marchewicz
Zdjęcie na okładce: © Bartosz Sadowski

Szef Projektów Wydawniczych
Maciej Marchewicz

Redakcja i korekta
Barbara Manińska

Skład i łamanie
Tekst Projekt, Łódź

© Copyright by Piotr Nisztor, 2015
© Copyright by Cezary Bielakowski, 2015
© Copyright for Fronda PL, Sp. z o.o., Warszawa 2015

ISBN 978-83-8079-003-2

Wydawca
Fronda PL, Sp. z o.o.
ul. Łopuszańska 32
02-220 Warszawa
Tel. 22 836 54 44, 877 37 35
Faks 22 877 37 34

e-mail: fronda@fronda.pl
www.wydawnictwofronda.pl
www.facebook.com/FrondaWydawnictwo

SPIS TREŚCI

| | |
|-------------------------------------------------------|-----|
| Wstęp | |
| Wszystko, czego nie wiecie o Janie Kulczyku..... | 7 |
| Rozdział I | |
| Afera Orlenu. Koniec pewnej epoki | 18 |
| Rozdział II | |
| Minister, który okazał się szpiegiem | 44 |
| Rozdział III | |
| Volkswageny z odrobiną szczęścia..... | 69 |
| Rozdział IV | |
| Afrykańskie miliardy | 81 |
| Rozdział V | |
| GSM, Elektrim, autostrady, Warta | 100 |
| Rozdział VI | |
| Mon ami Aleksander, czyli Telekomunikacja Polska..... | 116 |
| Rozdział VII | |
| Kolebka Kulczyków na Kujawach | 131 |
| Rozdział VIII | |
| Aktywny polonus | 153 |
| Rozdział IX | |
| Biznes pod okiem ojca..... | 162 |
| Rozdział X | |
| Poznańskie koneksje | 184 |
| Rozdział XI | |
| Rodzinny dom Grażyny..... | 203 |

| | |
|-------------------------------------------------|-----|
| Rozdział XII | |
| Taśmy Kulczyka. Miliarder i afera taśmowa..... | 221 |
| Rozdział XIII | |
| Sebastian. Czas na nowe wyzwania | 247 |
| Rozdział XIV | |
| Doktor prawa międzynarodowego..... | 266 |
| Rozdział XV | |
| Flota Kulczyka..... | 270 |
| Rozdział XVI | |
| Bezpieczeństwo państwa w prywatnych rękach..... | 272 |
| Rozdział XVII | |
| Spotkanie z agentem | 275 |
| Rozdział XVIII | |
| Spotkanie z agentem 2 | 277 |
| Rozdział XIX | |
| Przesłuchanie | 280 |
| Rozdział XX | |
| Próba zakupu grupy Lotos..... | 362 |

WSTĘP

WSZYSTKO, CZEGO NIE WIECIE O JANIE KULCZYKU

JAN KULCZYK zmarł w Wiedniu 29 lipca z wtorku na środę, tuż po północy w jednej z najlepszych europejskich klinik. Miał 65 lat. Do szpitala trafił na kolejny, eksperymentalny zabieg usunięcia komórek nowotworowych prostaty. Pierwszy zabieg przeszedł półtora roku wcześniej w Detroit w Stanach Zjednoczonych. Operacja została wtedy przeprowadzona z wykorzystaniem zaawansowanej technologii medycznej. Nawrót choroby nowotworowej wymagał ponownej interwencji chirurga. Operacja prawdopodobnie została przeprowadzona w piątek. Doszło do nieoczekiwanych komplikacji. Jan Kulczyk trafił na oddział intensywnej terapii. W sobotę wieczorem dzwonił do rodziny i przyjaciół uspokajając, że został już przeniesiony z OIOM-u na salę ogólną. Po pięciu dniach od zabiegu, mimo że otrzymywał regularnie zastrzyki przeciwzakrzepowe, utworzył się zator płucny. Skrzep krwi zablokował tętnicę. W konfrontacji z tak podstępą śmiercią najnowocześniejszy sprzęt i najlepsi lekarze mogą sobie nie poradzić. Na ratunek są tylko minuty.

Jan Kulczyk wiedział, że jest poważnie chory. Czy myślał o śmierci i miał jej przecucie? W styczniu 2014 roku przekazał władzę nad Kulczyk Investments dzieciom – Sebastianowi i Dominice.

W marcu rok później firma przyjęła nową strategię działania. Ale Jan Kulczyk nie zęgnął się z życiem, raczej porządkował swoje różne zaległe sprawy. Wyremontował cmentarz Jeżycki na poznańskiej Nowinie. Tam też został pochowany, obok swojego ojca Henryka, który zmarł niecałe dwa lata wcześniej w wieku 87 lat. Na płycie grobowca w listopadzie 2014 roku stanęła rzeźba jego ulubionego rzeźbiarza Igora Mitoraja – przytuleni do siebie kobieta i mężczyzna, obok stoi pień starego ściętego drzewa, od którego odrastają młode gałęzie.

Od kilku miesięcy Jan Kulczyk modernizował swoją siedzibę. I szykował nowy gabinet. Został on zaprojektowany według jego wskazówek. Na pierwszym piętrze rozpoczęło się skomplikowane wzmocnienie stropu. Bo automatycznie otwierane dwuskrzydłowe drzwi do sekretariatu były za ciężkie. Lekka konstrukcja biurowca by ich nie udźwignęła. Jan Kulczyk miał pomysł niecodzienny. W stalowych framugach zawisły bas-reliefy, czyli płaskorzeźby odlane z brązu. Wykonał je kiedyś sam Joan Mirò. Musiały kosztować majątek. Do gabinetu zostały już zamówione meble. Brakowało biurka. Jan Kulczyk zamówił je w polskiej pracowni braci Olko. Biurko ma być wyrzeźbione z gładu. Biznesmen czekał też niecierpliwie na najnowszą wersję swojego odrzutowca typu Gulfstream 650. Uwielbiał latać. Termin odbioru był wyznaczony na wrzesień. Końca dobiegały również ostatnie prace wykończeniowe w nowej willi wybudowanej na zboczach Saint Moritz. Podobno to największy prywatny dom w Szwajcarii.

W marcu zapytaliśmy Jana Kulczyka o początki biznesowej działalności, o kulisy największych projektów, prywatyzacje z lat dziewięćdziesiątych, znajomości z politykami i aferę Orlenu, w której stał się głównym bohaterem. Także o czasy współczesne i po prostu, jak to być miliarderem. Nie zabrakło pytań o ostatnią inwestycję w giełdowy Ciech i o to, co ma wspólnego z aferą taśmową. Na większość z nich Jan Kulczyk odpowiedział. Jego wspomnienia i opinie wpisaliśmy do tej książki. Planowaliśmy kolejne pytania. Zabrakło czasu. Los sprawił, że to był jego ostatni kontakt

z mediami. Wypowiedzi te w nieprzewidywalny sposób stały się pożegnaniem z ludźmi, bez których nie zbudowałby swojego imperium. Ale przede wszystkim to polemika z krytyką i zarzutami, jakie towarzyszyły miliarderowi, odkąd zaczął zarabiać ponadprzeciętne pieniądze i budować swoją wpływową pozycję. Rozdziały tej książki są jak rozrzucone puzzle. Każdy można czytać osobno. To zbiór opowieści, składających się na obraz osoby, o której można powiedzieć na pewno, że była niezwykła. Bez roli, jaką odegrał Jan Kulczyk, nie sposób zrozumieć i dobrze opisać najnowszej historii Polski. Był jej częścią. Niejednoznaczna.

W skrócie o Janie Kulczyku można powiedzieć, że do końca nie zwalniał tempa. Jego przedsięwzięcia, nie tylko biznesowe, przez lata budziły skrajne emocje. Próżno szukać drugiej takiej osoby. Na wieść o śmierci Jana Kulczyka jego współpracownicy i przyjaciele płakali jak dzieci, zdeklarowani wrogowie, a miał ich całą rzeszę, zaczęli świętować.

Do Kulczyka nie można było mieć obojętnego stosunku. Jednych uwodził swoim charakterem, intelektem, rozmachem i oczywiście pieniędzmi. Dla innych był pewnym siebie bogaczem. Przykładem polskiego kombinatora, który zbudował fortunę na majątku państwa. Równocześnie mówiono o nim wizjoner, geniusz biznesu i filantrop oraz satrapa, oligarcha i cwaniak biznesowy.

Jan Kulczyk bez wątpienia stał się jednym z symboli polskiej transformacji. Dla wielu skrajnie negatywnym, uosabiającym wszystkie patologie politycznych i gospodarczych przemian. A nazwisko „Kulczyk” to dziś synonim wielkiego osobistego sukcesu, ale również „kapitalizmu politycznego”.

W wypadku Jana Kulczyka miarą sukcesu stał się jego majątek szacowany na ponad 15 miliardów złotych. Według wielu opinii to wielkość niedoszacowana. To wartość milionów akcji, kont bankowych, nieruchomości czy dzieł sztuki. Miarą sukcesu Jana Kulczyka stał się też rozmach biznesowej działalności, która wykroczyła daleko poza granice kraju – Kulczyk jako pierwszy Polak zaczął inwestować w afrykańskie pola naftowe i kopalnie diamentów, szukał

gazu i ropy w Indonezji i na Ukrainie, z którą chciał też handlować prądem. Nie miał polskich kompleksów. Zapytany, na ile wycenia swój majątek, odparł: – Czuję się komfortowo, nie dostaję finansowej zadyszki. Gotówka przyrasta. Na przykład rośnie cena złota, a my mamy udziały w kopalni złota w Namibii, to jedna z największych kopalni złota w Afryce. Jest tam bezpiecznie. Ukrainę też przekuję za chwilę w sukces.

Większość jego osiągnięć przypisywana była umiejętności wkupywania się w przychyłność kolejnych rządów. W powszechnym odbiorze wszystkie jego inwestycje w państwowe przedsiębiorstwa nie byłyby możliwe bez ugruntowanych znajomości z politykami. Miał być przykładem quasi-legalnego uwłaszczenia na majątku skarbu państwa. Tak postrzegane były jego historyczne transakcje – jak kontrakt z policją na dostawy samochodów VW, udział w prywatyzacji Telekomunikacji Polskiej czy Browarów Wielkopolski. Jan Kulczyk odrzucał te zarzuty. W zasadzie można powiedzieć, że ich do końca nie rozumiał. Powtarzał, że niczego nigdy od nikogo nie dostał. Poza pierwszym milionem, który na początku lat osiemdziesiątych otrzymał od swojego ojca na rozkręcenie biznesu.

Nigdy natomiast nie wypierał się dobrej znajomości z politykami. Jedną z najważniejszych była przyjaźń z Aleksandrem Kwaśniewskim. Kulczyk poznał go w pierwszej połowie lat osiemdziesiątych. Kwaśniewski był wtedy redaktorem naczelnym pisma młodzieżowego „ItD”. Jak twierdzi Jan Kulczyk, pomógł przypadek. Żona Kwaśniewskiego Jolanta pracowała wtedy w polonijnej firmie PATT, która robiła i sprzedawała biżuterię z modeliny. PATT to była firma obywatela Szwecji Jacka Kubica. Pracował w niej również Ireneusz Nawrocki, późniejszy przyjaciel rodziny Kwaśniewskich, i Ryszard Kalisz, szef kancelarii późniejszego prezydenta.

– Kwaśniewski to mój przyjaciel. Jego żona Jola była odpowiedzialna w firmie PATT za zaopatrzenie. Robili i sprzedawali biżuterię z modeliny. I jak wszyscy, potrzebowali surowca z importu. To od mojego podpisu zależało, kto i ile tego surowca dostawał. Zaprosiłem Jolę na kolację. Przyszli razem. Tak poznałem Aleksandra.

Od tego czasu bardzo dobrze się znamy, zapraszamy na urodziny, imieniny. Dlaczego mam dzisiaj udawać, że go nie znam? To były lata osiemdziesiąte. Kto by wtedy przypuszczał, że Kwaśniewski zostanie prezydentem za piętnaście lat. Mogę mnożyć te znajomości z tamtych czasów.

Po tych piętnastu latach Jan Kulczyk miał w zasadzie nieograniczony dostęp do prezydenta Kwaśniewskiego. – Żeby się spotkać z Olkiem, nie potrzebowałem Marka Ungiera. Dzwoniłem bezpośrednio do prezydenta, czasem od razu po wylądowaniu w Warszawie, żeby pogadać i umówić się na kawę. Kulczyk przyznaje: – Wiem, że wymknęło się to trochę spod kontroli i zabrakło zwykłej wyobraźni i przezorności.

Jan Kulczyk podkreślał, że nigdy nie był częścią żadnego politycznego dworu. Choć bez wątpienia miał specjalny status. Nie tylko u Kwaśniewskiego. W podróży rządowym samolotem, czy to z prezydentem Lechem Wałęsą, czy z premier Hanną Suchocką, siedział z nimi w salonie. Reszta przedstawicieli biznesu z tyłu samolotu. Jego specjalny status, poza doskonałymi relacjami z politykami, wynikał także z tego, że stał na czele Polskiej Rady Biznesu, którą założył na początku lat dziewięćdziesiątych z Jerzym Stariakiem i Janem Wejchertem. Rada była stworzona na wzór elitarnej American Business Round Table. Zbigniew Brzeziński, doradca gospodarczy prezydenta USA Jimmy'ego Cartera tłumaczył, że organizacja ta działa zakulisowo na prywatnych spotkaniach, a zaproszenie do niej otrzymują największe tuzy amerykańskiej gospodarki. Taki sam cel przyświecał polskim biznesmenom. PRB stała się jedną z najbardziej wpływowych organizacji w Polsce. W dzisiejszej siedzibie rady, w pałacyku Sobańskich w alejach Ujazdowskich, dwa kroki od kancelarii premiera, Jan Kulczyk czuł się jak u siebie. Podobnie zresztą, jak w gmachu sejmu na Wiejskiej. W czasach rządów SLD tylko jedno miejsce było jawnie nieprzychylnie Kulczykowi. To był gabinet ministra skarbu Wiesława Kaczmarska. Jan Kulczyk nie mówił o nim inaczej niż „Rudy”, zresztą tak jak wiele innych osób. I nie była to tylko kwestia koloru włosów. Nie miał o ministrze skarbu

dobrego zdania i vice versa. – Nie akceptował tego, że mogłem pójść z każdą sprawą bezpośrednio do Olka albo Leszka. Przypuszczam, że gdybym zabiegał o względy u „Rudego” i u reszty tego towarzystwa, jego doradców politycznych, byłoby inaczej. Ale byłem poza tym całym dworem, nie wpisywałem się w to towarzystwo.

Jan Kulczyk przekroczył wtedy granicę, która powinna dzielić prywatny biznes od polityki, i to na całej długości.

– Był taki moment, zgadzam się z tym. Tak się zagalopowałem, że mogłem wpływać na jedną trzecią wartości polskiej giełdy.

– To źle?

– Źle, mimo wszystko źle. To nie jest zdrowe, gdy jedna osoba ma takie wpływy. Nieuchronnie budzi się żądza władzy. Zaczyna dominować. Nie wiem, jakie by były tego konsekwencje dla mnie.

I znów miał szczęście. Jego rozpęd skutecznie wyhamowała komisja śledcza w sprawie afery Orlenu. Mimo upływu lat ciągle wracał do tych wydarzeń z przełomu 2004 i 2005 roku. W ich efekcie przeniósł się na stałe do Londynu i zaczął się interesować inwestycjami w Afryce.

– Jak to jest być miliarderm? – zapytaliśmy.

– Do obiadu i kolacji wino lepsze podają – żartuje Kulczyk. – Te moje wszystkie rzeczy, samolot, jacht, domy, to narzędzia pracy. Ja muszę mieć taką rezydencję. Nie tylko dlatego, że to lubię. Ale po to, żeby docenili to moi współpracownicy. Traktuję to jak grę. Żeby nie patrzono na mnie z góry. To wszystko co mam pokazuje, czy jesteśmy mniej więcej w tej samej lidze. To wygodne. Nie trzeba sprawdzać biznesplanów, kto ile ma na koncie. I to działa.

Rezydencja jest rzeczywiście imponująca. Kulczyk kupił ją od szejka z Arabii Saudyjskiej. Znajduje się przy South Street MayFair. To jedna z najdroższych dzielnic Londynu, w której ceny miejskich pałaców sięgają 100 milionów funtów.

Drzwi otwierają ochroniarze w nienaganych garniturach. Parter przypomina obszerną recepcję. Na wysokie piętro prowadzą piękne, majestatyczne schody z czarnego marmuru. Robią wrażenie. Na myśl przychodzi rezydencja rodu Carringtonów z serialu

„Dynastia”, choć schody są o połowę krótsze. Gabinet i przylegający do niego ogromny salon to w zasadzie muzeum sztuki nowoczesnej. Każdy mebel i przedmiot, które tworzą wystrój wnętrza, wyszedł spod ręki znanych światowych artystów. W gabinecie o owalnym kształcie pełno jest półek pod sufit wypełnionych ciężkimi albumami i katalogami sztuki oraz fotografii artystycznej. Rzecz jasna jest też kominek, w którym przez połowę roku – jak to w Londynie – pali się węgiel. Przylegający do gabinetu salon jest naprawdę gigantyczny. Ściany w ciepłych pastelowych kolorach zdobią stiuki w kształcie antycznych kolumn, nadając mu dyskretnego pałacowego charakteru. W oczy rzucają się piękne czerwone, lakierowane zestawy głośników w kształcie instrumentów dętych. W centralnej części stoją wielkie kanapy na dosłownie gigantycznym grubym i miękkim dywanie. Masywny gramofon i zestaw do odtwarzania muzyki mógłby z powodzeniem zdobić kajutę kapitana Spocka na Star Treku.

Swojej prywatności Jan Kulczyk strzeże jak skarbu. Nie wystawia swojego bogactwa na sprzedaż w kolorowych pismach i portalach plotkarskich. Na próżno szukać zdjęć specjalnie zaprojektowanego dla niego biurka, które przypomina trochę... drapieżną barakudę. Zobaczyć to szklane cacko to przywilej gości, którzy dostają zaproszenie do rezydencji. Wykonała je Zaha Hadid.

Jan Kulczyk jest typem gawędziarza, który potrzebuje widowni. Ale nie szanował ludzi, którzy mu tylko przytakiwali.

Potrafił długo testować rozmówcę, żeby sprawdzić, czy ma do czynienia ze zwykłym pochlebcą, czy osobą wartą swojego czasu. Lubił prowadzić dyskusję na kontrze. Wręcz narzucając swoje zdanie. Ale we właściwym momencie potrafił przyznać z niewinnym uśmiechem: „Ja tak tylko prowokuję, proszę się nie urażać”.

Nie zapamiętywał nazwisk, przekręcał fakty i daty, mylił liczby. Miał skłonność do podkręcania swoich opowieści. Uwielbiał żarciki, anegdoty i bon moty. Detale opowieści nie były najważniejsze. Przecież szczegóły i nazwiska można zawsze gdzieś sprawdzić. – To gdzieś da się ustalić. Ale o ileż ciekawsze są te historie... – mawiał.

– Absolutnie, to nie podlega żadnej dyskusji – tych słów nadużywał. To sygnał, że kończy się pole do dalszej wymiany argumentów. Albo po prostu koniec rozmowy na określony temat. Był dosyć apodyktyczny i zawsze doprowadził do zakończenia swojej kwestii, nawet jeśli ktoś próbował zmienić temat. Wtedy wyczekiwał, wysłuchał do końca, ale i tak powiedział to, co planował. – Nie lubię brutalności, ale jestem stanowczy. Jeśli ktoś przekracza określone granice, mówię nie i to jest koniec – wyjaśnia.

To dotyczyło także spraw rodzinnych. Jan Kulczyk żartował: „W sprawach rodzinnych mam ostateczny głos. Jestem władcą absolutnym, ale na szczęście oświeconym”.

Dwie butelki czerwonego wina, które czasami wypijał ze swoimi gośćmi lub przyjaciółmi w londyńskich klubach, to koszt w Polsce średniej klasy małego samochodu. Ale w ostatnim czasie to była jedyna słabość. Dbał o siebie. Cyklicznie robił badania krwi. Dużą wagę przykładął do tego, co jadł. Miał osobistego kucharza, który na obiad przygotowywał małe, ale syte i zdrowe posiłki. Na przykład: pierwsza przystawka to mięso z homarów z trzema sosami, potem plaster duszonego indyka i danie główne – porcja upieczonej soli. Do tego gotowane warzywa, dziki ryż, utarta czarna rzepa. A na koniec czarna kawa, delikatne słodycze i belgijska czekolada. Wyraźnie miał słabość do słodkich przekąsek.

Posiłek podawali mu kamerdynerzy. Perfekcyjnie wyszkoleni, poruszający się jak zaprogramowane roboty. Młodzi Brytyjczycy z nienagannym angielskim. Skromnie ubrani. Dziewczyzna w małej czarnej, chłopak w białej koszuli. Na dłoniach białe rękawiczki. Krążyli wokół małego okrągłego stołu w rogu salonu bezszelestnie jak duchy.

Wielokrotnie był namawiany, żeby napisał książkę, jak zarobić pierwszy miliard. – Gdy słyszę, napisz podręcznik, jak się robi pieniądze, jestem na nie. Nie ma czegoś takiego. To jest kumulacja wielu spraw i okoliczności. Na początek trzeba widzieć coś, czego nie widzą inni. Dużo czytać i obserwować. Ale to nie jest tak, że chodzę sobie od klubu do klubu i słucham gdzie kto robi interesy.

W ten sposób większości moich przedsięwzięć by nie było. Bo przede wszystkim trzeba wystąpić w roli pioniera. Tak było z autostradą, tak było z browarami, tak było z telekomunikacją. A Era jest pierwszą telefonią komórkową w Polsce. Miałem odwagę wytyczać drogę innym.

To oczywiście część prawdy. Londyńskie kluby mają swoją wartość. Kulczyk bywał tam, gdzie przychodzili najbogatsi. To tam w naturalny sposób można poznać przyszłych wspólników i partnerów, otworzyć drzwi do nowego biznesu. – Wypije się jednego drinka, drugiego, zje obiad, kolację, jeżeli jest fajna chemia, to podejmujemy wspólne działania. Robi się interesy z ludźmi, a nie z firmami. To podstawowa zasada. Oczywiście później potrzebne jest zaplecze, musi być infrastruktura, która jest w stanie przetworzyć to, co my sobie tam zaplanujemy – opisuje Kulczyk. Żeby zostać członkiem takiego klubu, nie wystarczą sute napiwki płacone gotówką prosto z kieszeni. Na członkostwo trzeba czekać dwa, trzy lata, mieć mocną pozycję i rekomendacje. Trzeba być kimś. A w Londynie to nie jest takie proste. Kilka lat temu Kulczyk powiedział: „Myślę, że nie wystarczy być orłem, żeby zdobywać sukcesy. Do tego jeszcze jest potrzebne to, co możemy nazwać łowiskiem. Wiemy o tym doskonale, że nawet najlepszy orzeł na pustyni może być głodny”.

Choć był drapieżnikiem i wykorzystywał do robienia biznesów polityczne znajomości, nie interesował się bieżącą polityką. Tu jednak zaskoczenie. – Zajmuję się polityką, tylko jeśli ma wpływ na biznes – tłumaczy. Jan Kulczyk zapytany niedawno, co sądzi o polityku, który z powodu spektakularnego ekscesu nie schodził kilka dni z rządu z czołówek gazet i jedynek w serwisach informacyjnych spojrzął bezradnie w kierunku swojego bliskiego współpracownika. Ten zaczął tłumaczyć, o co chodzi. Ale Kulczyk dalej nie miał pojęcia, o kim mowa. Nawet przywołanie nazwiska posła niewiele pomogło. Bo Jan Kulczyk nie czytał i nie słuchał nieistotnych newsów z Polski. Ale na pewno musiał mieć jakieś elementarne ambicje polityczne? Nie miał. I mówił o tym z głębokim przekonaniem. Uzasadniał to żartobliwie, ale dosadnie. – Ja? Do polityki? I co miałbym

wpisać do oświadczenia majątkowego? Zegarki? Przecież nie wiem, ile ich mam.

Choć nie kolekcjonował czasomierzy, jak niektórzy politycy, jedną markę miał ulubioną – Breguet.

Podobnie sceptyczny stosunek miał do mediów. Swoje oceny na temat polskiej prasy i telewizji wypowiadał jednak z respektem. W swoim prowokacyjnym stylu mówił: – Mogę zainwestować w media. Przecież, gdybym kontrolował ze dwie, trzy redakcje w Polsce, miałbym władzę, te redakcje, dogadane nieoficjalnie między sobą, mogłyby zniszczyć każdego, prawda?

Po kilkudziesięcioszekundowej pauzie śmiał się, jak z dobrego żartu. – Ale to nie jest biznes. Media mnie w ogóle nie interesują.

Czy na pewno? Czy rzeczywiście żartował, czy brakowało mu odwagi. Gdyby chciał, na pewno mógł kupić praktycznie każdą gazetę. Co go powstrzymywało? Na początku lat dziewięćdziesiątych otrzymał ofertę kupna kilku tytułów w ramach likwidacji Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa Książka Ruch”, należącej do PZPR. Z okazji skorzystał wtedy jego kolega Wojciech Fibak. Kulczyk odmówił. – Przychodzili do mnie, namawiali: kup jakąś gazetę. Odpowiadałem: w życiu nie wejdę w żadną gazetę, od razu stanę się wrogiem.

Ale Kulczyk myślał o gazetach. Wiele lat później w ramach projektu „Media”, zlecił analizę opłacalności spółki Media Express – wydawcy dziennika „Super Express”, także Orkla Media, dawnego wydawcy dziennika „Rzeczpospolita”. Musiały wypaść mało optymistycznie.

Może dlatego właśnie doszedł do miliardów, skutecznie wykluczając te inwestycje, na których można już tylko tracić. Jana Kulczyka, najbogatszego Polaka, dobrze opisuje krótka anegdota. Na jedną z oficjalnych imprez nie mógł dotrzeć zaufany fotograf. Szansę dostał jego kolega. Przedstawił Kulczykowi słoną ofertę finansową. Doktor Jan przejrzał naprawdę dobre zdjęcia, wysłuchał fotografa i odparł: – Może rzeczywiście jestem bogaty, ale na pewno nie głupi. Pana oferta nie jest tyle warta.

I odesłał go z kwitkiem. Mógł zapłacić każdą cenę za zdjęcia, przecież tak drobne wydatki w ogóle nie powinny go obchodzić. Ale Kulczyk znany jest z tego, że nie lubi przepłacać, czy to za zdjęcia, czy za udziały przejmowanych przedsiębiorstw. I dobrze orientuje się, co ile kosztuje naprawdę i jaką ma wartość. W zasadzie to logiczne, bo po co płacić więcej, jak można mniej. Fortuna tej zasady nie zmienia, a może nawet paradoksalnie ją wzmacnia. I ten, nazwijmy to, szacunek do wartości pieniądza być może jest jednym z właściwych kluczy do rozumienia, jak doszedł do tak dużego majątku. Oczywiście, żeby stać się milionerem, poza wszystkim, trzeba mieć jeszcze trochę szczęścia i dar podejmowania racjonalnego ryzyka.

I jeszcze jedna kwestia. Podatki. Zamiast płacić je w kraju, szybko zaczął optymalizować zobowiązania wobec fiskusa (choć trzeba przyznać, że w 2014 roku jego firmy były największym płatnikiem podatków w Polsce). – Moje firmy, jeżeli działają w Polsce, płacą podatki w Polsce. A ja płacę jak każdy, tam gdzie mieszkam. Proszę mi wierzyć, gdym coś robił na lewo, złapaliby mnie już ze sto razy.

ROZDZIAŁ I

AFERA ORLENU.

KONIEC PEWNEJ EPOKI

JANOWI KULCZYKOWI fortuna sprzyjała wielokrotnie. Zwłaszcza gdy potrzebował jej najbardziej. Ale szczęście to za mało. Potrzebni są jeszcze wpływowi znajomi i przede wszystkim zaufani współpracownicy. Tych wokół Kulczyka nigdy nie brakowało. Choć nie wszyscy przetrwali u jego boku.

Był 7 listopada 2004 roku. Wygodny odrzutowiec Jana Kulczyka, który wystartował z Miami, miał jeszcze godzinę lotu do Okęcia. Doktor Jan sięgnął po pokładowy telefon. Zadzwoił do Warszawy, by porozmawiać z Janem Wagą, swoim najbliższym współpracownikiem i prezesem Kulczyk Holding, głównej wtedy swojej firmy. Doktor Jan usłyszał w słuchawce zdecydowany głos:

- Jeśli jesteś jeszcze w powietrzu, zavrcaj!
- Dlaczego?
- Bo mogą cię aresztować. Jest coraz większa awantura.

Kulczyk długo się nie zastanawiał. Zawrócił. Opowiadał, że czuł się zagrożony. – Obawiałem się prowokacji, oni przecież mogli wtedy wszystko, nawet narkotyki do walizki na lotnisku podrzucić... W jego historii ten drobny powietrzny epizod zmienił wiele, może nawet wszystko. Reakcja Kulczyka na słowa Jana Wagi miała

dalekosiężne konsekwencje. Bo miliarder leciał na przesłuchanie przed sejmową komisją śledczą, która prowadziła dochodzenie w sprawie tak zwanej afery Orlenu. Kulczyk, udziałowiec w tym paliwowym koncernie, był publicznie oskarżany, że wpływał na rządowe decyzje, biorąc udział w nieformalnych spotkaniach z premierem i prezydentem. Jeszcze poważniej brzmiały zarzuty o to, że w Wiedniu spotkał się ze słynnym szpiegiem KGB Władimirem Ałganowem. Z odtajnionych notatek wywiadu wynikało, że Ałganow mówił wtedy o łapówce, którą miał wziąć minister skarbu w zamian za sprzedaż Rosjanom Rafinerii Gdańskiej.

W tych okolicznościach, wydając pilotowi polecenie „zawracamy do Londynu”, Kulczyk dostarczył śledczym kilku argumentów przeciwko sobie: nie stawiał się na przesłuchanie – to mogło znaczyć, że coś ukrywa, bo pewnie jest winny i boi się odpowiedzialności. W jednej chwili Kulczyk stał się uciekinierem przed wymiarem sprawiedliwości. W wąskim gronie znajomych tak wspominał ten moment w samolocie: „Dosłownie świat mi się zawalił wtedy pod nogami”.

Komisja śledcza, która nie doczekała się na Kulczyka, pracowała już kilka miesięcy. Sejm powołał to gremium, żeby zbadało sprawę sprzed dwóch lat – okoliczności zatrzymania przez Urząd Ochrony Państwa prezesa koncernu naftowego PKN Orlen Andrzeja Modrzejewskiego. W komisji śledczej po stronie opozycji zasiadły same jastrzębie: Zbigniew Wassermann z PiS, były prokurator; Antoni Macierewicz, były szef MSW, autor historycznej listy polityków, którzy mieli współpracować ze Służbą Bezpieczeństwa PRL; Roman Giertych, młody narodowiec, lider LPR zabiegający o względy ojca Tadeusza Rydyzka; i Konstanty Miodowicz z PO, były szef kontrwywiadu UOP. To oni nadawali ton komisji. Po przeciwnej stronie było słabiej: Andrzej Celiński z SdPi, Bogdan Bujak i Andrzej Róžański z SLD oraz Andrzej Aumiller z UP. Komisji przewodniczył Józef Gruszka z PSL. Do czasu, gdy dostał ciężkiego wylewu. Wątpliwą ozdobą komisji był Alojzy Witaszek, związany niegdyś z Andrzejem Lepperem właściciel zajazdu pod Warszawą.

Posłowie opozycji już od dawna ostrzyli sobie zęby na Jana Kulczyka, ale ten wyraźnie nie spieszył przed oblicze komisji. Najpierw nie stawił się w prokuraturze. Wyjechał do swojej posiadłości w Miami na Florydzie i poinformował, że szwankuje mu zdrowie. Patrząc na tamte wydarzenia z dzisiejszej perspektywy, można śmiało powiedzieć, że śledczych z opozycji (i nie tylko) ogarnął wtedy lekki amok, który utrudniał im ocenę sytuacji (zresztą nie ostatni raz). Szarżować zaczął Zbigniew Wassermann. Żeby wymusić na Kulczyku stawienie się przed komisją, zaproponował zabezpieczenie na jego majątku. Szacowany był on wtedy na ponad trzy miliardy złotych i co najmniej w połowie znajdował się już poza granicami Polski. Pomysł spodobał się Giertychowi i Gruszce. Wassermann zaliczył więc wyżej – stwierdził, że majątek Kulczyka pochodzi z działalności przestępczej. Później gorzko zresztą tego pożałował, bo unikając procesu o zniesławienie, musiał przeprosić. Krążą plotki, że prokuratura rozważyła postawienie Kulczykowi zarzutu szpiegostwa. Zastępca prokuratora generalnego – jak donosiła prasa – uspokajał, że zarzut szpiegostwa nie potwierdza się w materiale dowodowym, ale „oczywiście prokuratorzy prowadzący to śledztwo będą jednak musieli się zastanowić, jaki charakter miało wiedeńskie spotkanie”. Eksperti komisji odrzucili dostarczone zaświadczenie lekarskie, że Kulczyk jest chory – powinno być wydane przez lekarza sądowego i napisane po polsku. Przypomniawszy o sobie nawet Jan Maria Rokita (typowany na przyszłego premiera), wypowiadając opinię, że gdyby Kulczyk nie wracał do kraju, minister sprawiedliwości powinien porozumieć się z władzami USA i doprowadzić do jego przesłuchania na terenie Stanów Zjednoczonych. A jeśli Kulczykowi byłyby postawione zarzuty, to powinien wystąpić o ekstradycję i zapewnić mu „pełne bezpieczeństwo”. – W tej sprawie chodzi o wielki majątek i wielkie pieniądze, chodzi o to, by państwo polskie mogło przesłuchać żywego świadka – mówił lider PO. I przypomniawszy gangstera Jeremiasza Barańskiego, który powiesił się w wiedeńskim więzieniu.

Czy Kulczyk postąpił słusznie, zawracając w takiej sytuacji samolot do Londynu? Czy Jan Waga mógł mieć rację, czy jego ostrzeżenie

było na wyrost? Oczywiście patrząc z punktu widzenia Jana Kulczyka, rzeczywiście wydarzyć się mogło wszystko. Komisja śledcza była nieprzewidywalna. Jeszcze trudniej było przewidzieć zachowanie prokuratury, która równolegle prowadziła własne śledztwo. Ale na pewno można powiedzieć, że Jan Kulczyk, biorąc kurs powrotny na Londyn, zabezpieczał siebie i swoje biznesowe imperium. Za granicą mógł czuć się bezpiecznie i z wolnej stopy kierować swoją linią obrony. Mógł negocjować. Zyskiwał czas i przewagę. Tam był u siebie, bo już od jakiegoś czasu część swoich interesów prowadził z Londynu i Luksemburga.

Przesłuchanie Jana Kulczyka było zaplanowane na wtorek 9 listopada. Zamiast niego kilka minut po godzinie dziewiątej w sejmie stawił się jego pełnomocnik prof. Jan Widacki. To adwokat od spraw trudnych i bardzo trudnych – taką ma opinię w rodzinnym Krakowie. Dla wielu jest postacią bardzo kontrowersyjną. Bronił choćby funkcjonariuszy oskarżonych o utrudnianie śledztwa w sprawie morderstwa Stanisława Pyjasa. To on doprowadził do uniewinnienia „Inkasenta” podejrzanego o seryjne morderstwa. Był też skutecznym obrońcą Romana Kluski, szefa Optimusa nękanego przez urzędy, skarbowkę i oskarżonego o przestępstwa podatkowe. W świecie polityki czuł się jak szczupak w stawie – był wiceszefem MSW w rządzie Tadeusza Mazowieckiego i Jana Krzysztofa Bieleckiego.

Widacki miał zamiar wygłosić oświadczenie w imieniu swojego klienta. Posłowie nie chcieli dopuścić go do głosu. Komisja próbowała w tym celu zakwestionować jego pełnomocnictwo – brakowało na nim znaczka skarbowego. Adwokat zażartował, że przyłapano go na próbie naciągnięcia Kulczyka na 15 złotych. Dokupił znaczek. Ale posłowie najpierw chcieli się dowiedzieć, czy nieobecność Kulczyka jest usprawiedliwiona. Wyjaśnienia Widackiego wprowadziły ich w osłupienie. Dopiero w tej chwili okazało się, że Kulczyka w ogóle nie ma w Polsce. Adwokat poinformował, że w drodze ze Stanów Zjednoczonych, podczas międzylądowania w Londynie, Kulczyk poczuł się gorzej i trafił do szpitala Harley Street Clinic na badania

kliniczne. Widacki przyniósł ze sobą wydruk z faksu z informacją ze szpitala. „Przewiduję, że leczenie potrwa 3–4 dni. Nie będzie mógł w tym czasie podróżować” – napisał kardiolog John Coltard. Faks komisji nie wystarczył. Zasiadający w niej chcieli wiedzieć, na co dokładnie cierpi Kulczyk. – Gdyby to wiedział, nie musiałby robić badań – odpowiedział pewnie Widacki. Siedmiostronicowe oświadczenie Kulczyka zaczął odczytywać po godzinie.

Widacki, czytając oświadczenie Kulczyka, cytował Wassermanna, Giertycha, Rokitę. Ich wypowiedzi określił jako obrzydliwe pomówienia. Kulczyk poinformował komisję, że chce zeznawać za granicą, bo obawia się, iż może zostać zatrzymany. Porównał się nawet do Romana Kluski. „Trudno nie zadać sobie pytania, czy to nie przypadek, że najpierw próbowano zniszczyć Kluskę, a teraz przyszła kolej na mnie” – czytał Widacki słowa Kulczyka. Posłowie byli bezradni, zdawali sobie sprawę, że przegrywają pierwsze starcie z Janem Kulczykiem. Nie będą mogli przygwoździć go serią krzyżowych pytań.

Ale prawdziwa bomba miała dopiero wybuchnąć. Widacki spojrział Giertychowi w oczy i zaczął dalej czytać oświadczenie Kulczyka: „Poseł Giertych spotkał się ze mną kilka tygodni temu, dając do zrozumienia, że nie jestem celem czynności śledczych komisji, a jeśli dostarczę mu informacje kompromitujące urzędującego prezydenta RP – cytuję: «mogę czuć się bezpiecznie». Informacji takich nie dostarczyłem, i to kolejna przyczyna poczucia zagrożenia”. Do tego spotkania doszło w klasztorze na Jasnej Górze.

Mina Giertycha była bezcenna. Tego nikt się nie spodziewał. W powietrzu wisiała kompromitacja całej komisji. Wiadomo już było, co poza nieobecnością Kulczyka na przesłuchaniu będzie tematem numer jeden przez kilka najbliższych dni.

Wszystko zostało precyzyjnie zaplanowane. Rano w „Financial Times” została opublikowana wypowiedź Kulczyka: „Jeśli ja się czuję w Polsce zagrożony, to czy ktokolwiek może się czuć bezpiecznie?”. Biznesmen opowiada gazecie, że w Polsce trwa na niego nagonka. Mówi o pomówieniach, które – jak twierdzi – uderzają w polski biznes i podważają międzynarodowe zaufanie do Polski.



CEZARY BIELAKOWSKI; dziennikarz tygodnika „Wprost”. Rocz-
nik 1968. Studiował na Wydziale Filologii Polskiej Uniwersytetu
Warszawskiego. Pracował w studiu filmowym „OKO” jako redak-
tor literacki oraz w agencji informacyjnej SiS-Serwis jako repor-
ter. Później był redaktorem w Polskiej Agencji Prasowej, „Życiu”,
„Rzeczpospolitej” i „Newsweeku”. Były wicenaczelný „Dziennika”,
„DGP” i „Wprost”. Dwukrotnie nagrodzony „Grand Pressem” w ka-
tegorii dziennikarstwo śledcze oraz news. Ojciec Julii i Aleksandry.



PIOTR NISZTOR (ur. 1984), absolwent Instytutu Edukacji Medialnej i Dziennikarstwa Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego. Dziennikarz śledczy „Gazety Polskiej”. Prowadzący program w telewizji Republika. Wcześniej pracował m.in. w „Dzienniku”, „Rzeczpospolitej”, „Pulsie Biznesu” i „Wprost”. W 2014 r. ujawnił jeden z największych skandali ostatnich lat – aferę taśmową. Został za to nagrodzony najważniejszymi nagrodami dziennikarskimi w kraju (Grand Press i nagrodą Watergate, przyznawaną przez Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich). Na koncie ma trzy publikacje książkowe.